DWA GUZY.

(z *Monde-dramatique.*)

(Dokończenie)

II.

Nim nowsze budowle zajęły miejsce skromnych domków, wznoszących się na wielkim rynku Berlińskim, zwanym placem Frederyka, stała pomiędzy niemi dosyć wygodna kamieniczka, chociaż na pozór bardzo skromna. Główna wystawa domu jedno tylko miała piętro, służące za mieszkanie doktorowi; lecz w podwórzu stała wysoka wieża. Ciasne otwory oświecały kręte schody na szczyt jéj wiodące. O kilka stóp od ziemi rozszerzały się mury, spoczywające na gruntowném sklepieniu, a na wierzchu była obszerna kolista sala, do któréj powietrze i światło szerokiemi w padały oknami, wychodzącemi na cztery kardynalne punkta. Wieża ta długo służyła za obserwatorym; lecz opuszczona późniéj, jako niesposobna do postrzeżeń astronomicznych, stała się własnością doktora, który, w sali szczyt jéj zwieńczającéj, założył swój anatomiczny gabinet, aby zdala od wszelkiego zgiełku mógł się poświęcać ulubionéj swojéj nauce.

Wnętrze sali tak dziwaczny miało pozór, iż strachem przejmowało nieświadomych, sądzących że się w grobie znajdują. Ściany całkiem powleczone były czarnym kirem, od którego odstrzeliwały przedmioty tworzące dziwne muzeum; doktor lubił niezmiernie to posępne obicie, uważając je za najpotężniejsze lekarstwo przeciw roztargnieniu i wesołym myślom, mogącym przerwać pracę jego.

Może czytelnikom wyda się nadzwyczajném upodobanie w tym kolorze; człowiek ten musiał być pewnie wyjątkiem, pomyślą? Wcale nie; gdyż znam nie jednego rozsądnego człowieka co go w tém naśladował; mógłbym nawet wymienić pewnego pisarza romansów któremu winni jesteśmy nie jedno zajmujące dzieło; pracownię jego przyozdabia dziwaczne obicie, posępniejsze niżeli ściany mieszkania mitologicznego Plutona. — Wzdłuż tego dziwacznego muru wznosiły się trzy rzędy półek, uginających się pod ciężarem nagromadzonych na nich przedmiotów. Na pierwszéj, najbliższéj podłogi, ułożone były kości rozmaitych kształtów, lecz wszystkie noszące ślady chorób, co naturalną budowę ich zmieniły; druga utrzymywała na sobie szczęty wewnętrznych części ciała ludzkiego, którym sztuka Ruyska nadała pozór życia, i dzięki téj sztuce rozpościerały najosobliwsze odmiany i potworności, jedne od drugich dziwaczniejsze; z półki najwyższéj nareście, szyderczo spoglądały czaszki rozmaitéj wielkości, z zapadłym nosem i głębokiemi otworami, gdzie niegdyś były oczy; odróżniające się ich kształty, większa lub mniejsza wypukłość czołowéj kości, dawały poznać iż należały do wszelkich rozmaitości rodzaju ludzkiego, począwszy od białego Europejczyka aż do niewolnika Afrykańskiego. Przed pułkami stały nieruchome kościotrupy, których stawy mosiężnemi pospajano sprężyny, — wśrodku sali, na szerokim stole ołowiem wybitym, porozrzucane były w nieładzie narzędzia anatomiczne, służące do wybadywania tajników naszego materyalnego jestestwa.

Nazajutrz po spotkaniu z Ricconim, doktór przechadzał się zadowolony, śród anatomicznych swoich bogactw, uśmie-

chając się radośnie na myśl, że jedno faktum więcéj doda do posiadanych już, gdyż był pewny że grabarz znęcony obietnicą kilku złotych dotrzyma danéj obietnicy...

Lekko do drzwi zasztukano....

— Otóż i on! — rzekł doktór spiesząc otworzyć. Człowiek jakiś siedział na ostatnich stopniach schodów; oddech jego był głośny i pośpieszny, trzymał rękę na sercu jakby chcąc bicie jego przytłumić. Doktór poznawszy nocnego napastnika, skinął nań aby wszedł; lecz on ani się poruszył.

— Uf!.... przeklęte schody! — zawołał nakoniec, — tylko sto dziewiędziesiąt stopni! a to można piersi zerwać. Prawdziwie, signor! jeśli droga do raju tak jest utrudzająca jak do waszéj kostnicy, to będę błagać Boga aby mię raczył zostawić na ziemi.... — No no! — odezwał się doktór przerywając mu, — dajmy pokój żarcikom, mości gaduło, i spieszmy się....

Wówczas dopiero powstał grabarz i wszedł rzucając w około niedowierzające spojrzenie, które przybrało pytający pozór gdy je zwrócił na doktora. Lekarz pociągnął go do okna, i kazał mu przyłożyć oko do szkła perspektywy, zwróconéj ku miastu. Machinialnie usłuchał go Ricconi....

— Cóż widzisz? — spytał doktór. — Widzę rynek i tłum cisnących się ludzi.... — Co więcéj?.... — Poczekaj pan... szubienicę... — I nic więcéj?... — A na wierzchu kołyszącego się trupa ... — Widzisz więc gdzie cię zaprowadzi niebezpieczny przemysł na którym cię dzisiejszéj nadybałem nocy..., chyba że będziesz miał odwagę wyrzec się go.... — Odwagę! ta się znajdzie.... ale możność... — Możność! — rzekł doktór; — ach! przypominam sobie, żeś mi powiedział że cię do tego przywiodła

potrzeba...—Niestety, tak jest; signor! muszę żywić i odziewać jednę jeszcze prócz siebie osobę... — I któż to taki? — Brat mój!... — Twój brat!... czyż sam nie może na siebie pracować? — Pracował póki mógł... Lecz dzisiaj!... — I cóż takiego? opowiedz mi przecie? — rzekł doktór, w którym smutna postawa Ricconiego zaczęła obudzać zajęcie. — Mój ojciec był biednym kuglarzem w Messynie. Przy zgonie zaklął mnie abym nigdy brata nieopuszczał; przyobiecałem mu; lecz przysięga była niepotrzebną, gdyż serdecznie kochałem mojego biednego Józefa! I do kogóż mógłbym się bardziéj przywiązać! Jakże nie kochać brata z którym się dzieli dziecęce igraszki, z którym się pod jednym dachem tak długo spoczywał.... Brat!... To więcéj jak przyjaciel, więcéj jak kochanka. Przyjaciel zdradza niekiedy; kochanka często bywa niewierną, brat tylko zawsze kocha, zawsze jest dla brata wylany! Może między nimi zajść czasem kłótnia, nieporozumienie, lecz to są tylko lekkie chmurki; prędzéj czy późniéj pogodzą się, i chmurka pierzchnie..... Jedna jeszcze rzecz bardziéj mnie przywiązywała do mojego biednego Józefa... urodził się ślepym... Będąc synami kuglarza, zostaliśmy także kuglarzami i wędrownemi grajkami..., Józef nie źle grał na skrzypcach; ja śpiewałem akompaniując sobie na arfie; tak przebiegliśmy znaczną część Włoch, mało zarabiając, lecz dostatecznie aby wyżyć. Trwało już to życie lat kilka, gdy pewnego wieczora, przy jednéj z bram Medyolańskich, spotkaliśmy pijanego żołniorza, który kazał nam zagrać... Nastroiliśmy instrumenta i wykonali najlepsze sztuki naszego skromnego repertoaru; lecz gdy brat wyciągnął rękę po zwykłą zapłatę, żołnierz odpowiedział cięciem szabli, które ugodziło Józefa w rękę i strza-

skało jego skrzypce. Poskoczyłem ku bratu; ręka jego oddzielona była od ramienia i wisiała tylko na kawałku skóry.... sam nie wiem co mi się stało w téj chwili: krew mózg mi zalała, wściekłość ogarnęła serce; nieposiadałem się z gniewu. Rzucić się na żołnierza, wydrzeć mu broń jego, uderzyć nań, było to dziełem jednéj chwili.... padł. Biedny mój Józef był pomszczony, lecz trzeba było uciekać. Oddaliliśmy się z Medyolanu, pozostawiwszy przy jego bramie roztrzaskane instrumenta, jedyną uchronę przed nędzą. Gdyśmy osądzili że jesteśmy bezpieczni od wszelkiéj pogoni, opatrzyłem ranę brata; biedny był kaleką, na zawsze został kaleką!... Nic już teraz sam nie mógł sobie poradzić. Odtąd błąkaliśmy się po polach, wyszukując na żywych płotach i w lasach niedostateczne a nie raz i niezdrowe pożywienie; — w Berlinie dopiero znalazłem nędzny przytułek i nieco spoczynku.

Doktór z uwagą słuchał Ricconiego; gdy skończył, posadził go przed sobą na ławeczce; potém kładąc ręce na głowę Włocha, przesunął wprawne palce po bokach czaszki i skroniach: a po kilku chwilach namysłu:

— Otóż jest, — rzekł sam do siebie, — organ dowodzący że mój napastnik posiada niezaprzeczoną potrzebę nagromadzania... o czém dzisiejszéj nocy mogłem się dowodnie przekonać.

Podczas tego badania twarz lekarza najmniejszego nie wyraziła zadziwienia, tak bowiem był pewnym iż guz ten znajdzie. Powiódł potém ręce na przód czoła, ku linii, zdającéj się oczy zabezpieczać, i palce jego na powtórnéj zatrzymały się wypukłości, któréj odkrycie wydarło mu krzyk podziwienia...

— Jeśli nauka nie kłamie — zawołał, — człowiek ten może stać się wielkim śpiewakiem!...

Potém, obracając mowę do Ricconiego, który obojętny i milczący, dozwalał mu czynić wszelkie kranioskopiczne badania:

— Czy czujeż w sobie jakie powołanie do muzyki... — spytał, pilnie się w niego wpatrując.

— Czy lubię muzykę! Przysięgam ci na Świętą Cecylię, doktorze, ze wszystkiego muzyka najwięcéj ma dla mnie powabu. Ach! gdybym był bogaty, miałbym nauczycieli i zasady, a wówczas... — Jeśli chcesz to ci dam nauczycieli... — I cóż mam zrobić aby zasłużyć na podobną łaskę?.. — Nic... — Nic! to bardzo łatwo,... jednakże... — Biorę wszystko na siebie... ty będziesz się jedynie zajmował nauką... — Lecz biedny mój Józef... — Twój brat!... bądź spokojny, na niczém mu zbywać nie będzie. — Ach! panie doktorze, jakże zdołam się wywiązać, czém ci dowiodę wdzięczności mojéj?... — Będę aż nadto wynagrodzonym, jeśli zostaniesz sławnym artystą...

Doktór wziął pióro, napisał słów kilka i obracając się do Ricconiego. — Oddasz to panu Vogler... — Jakto! to do pana Vogler!... — Dla czegóż to cię tak zadziwia... — Ja! uczniem podobnego mistrza! — Tak jest; pan Vogler jest moim przyjacielem i na moje zalecenie zajmie się twojém muzykalném wykształceniem... — Dzięki ci, panie doktorze, — rzekł Ricconi odchodząc... — niechaj skonam w téj chwili, jeśli kiedyś o mnie mówić nie będą! — Ach!... posłuchaj — rzekł doktór przywołując go; — staraj się zostać zupełnie poczciwym człowiekiem. — Ach! to nie trudno, kiedy będę miał zabezpieczone piérwsze potrzeby... — Nie-

koniecznie!...— Tak sądzisz, signor; no! zobaczymy...— Bywaj zdrów! — Żegnam was, panie doktorze!

III.

W kilka lat późniéj, wielki tłum wiernych i miłośników muzyki, w religijném milczeniu wychodził drzwiami wielkiéj katedry, gdzie odprawiła się msza muzykalna. Znakomitém było dzieło, a śpiewacy, którym wykonanie jego polecono godnie je pojęli; lecz jeden głos szczególniéj, pełen mocy i natchnienia, aż do szczytności wzniósł się podczas *Sanctus* i jeszcze brzmiał w uszach tłumu, który wyszedłszy ze świętych podwoi, opowiadał sobie nawzajem wzruszenia, wyrazy tchnącemi zapałem i podziwem, głosząc wielkim artystę tak pięknym obdarzonego talentem.

Dwóch mężczyzn wyszło na ostatku i zatrzymali się przed kruchtą. Jeden z nich był Vogler; twarz jego nosiła piętno tęsknoty, zawsze ożywionéj uśmiechem i spojrzeniem uprzejmém, oblicze które rzadko surowość zasępiała. Drugi, już nam znajomy, był doktór Steubein. Oba dość żywo rozprawiali, prowadząc dawniéj zaczętą rozmowę...., — A więc doktorze, — mówił pierwszy — upornie wierzysz w freneologię?.. — A ty uparłeś się niewierzyć w nią!.. — Jakże chcesz abym zaufał systematowi, który pociągnąłby za sobą niezawodną zgubę społeczeństwa, gdyby praktykowano jego teorye... — Zgubę społeczeństwa!... przeciwnie, przyjacielu, owszem one by utwierdziły jego podstawę...Tak, freneologia z tego właśnie względu jest najpożyteczniejszą, że nas wiedzie do wykrycia dobrych i złych skłonności, do których łatwo potém zastosować środki rozwinięcia ich lub przytłumienia; bez ich światła, najkosztowniejsze przymio-

ty marnieją w ukryciu, a występki do tak wysokiego dochodzą stopnia że edukacya staje się już niedostateczną do ich przezwyciężenia...

— Ale gdzież fakta na poparcie mniemanych prawd twojego systematu?... Wy wszyscy frenologowie wydajecie dopiero wyroki po otrzymanym rezultacie...

— Fakta, te są liczne... poczekaj, jeden przykład ci tylko przytoczę... Twój uczeń, Ricconi, co cię przed chwilą zachwycił swoim śpiewem i szczytnym zapałem z jakim dzieło twoje wykonał, Ricconi był tylko biednym grabarzem; — przypadek mi go nastręczył, i przepowiedziałem grabarzowi wielką przyszłość... A co, czym się zawiódł?...

— Sądzisz więc że moje nauki nie przyczyniły się do uczynienia go wielkim artystą?...

— Zdala odemnie myśl podobna!... ale zasiałeś tylko grunt posiadający w sobie potężne zarody płodności...; gdyby nie frenologia, człowiek ten całe życie zostałby nieznanym...

W téj chwili zbliżyła się trzecia osoba do naszych rozprawiaczy; przybycie jéj sprzeczce koniec położyłe, i oba uprzejmie podali jéj rękę.

— Ach! przybywaj kochany Ricconi, — rzekł Vogler; — niechże ci podziękuję za rozkoszne wzruszenia jakich dzisiaj doznałem; prawdziwie byłeś szczytnym!

— Zbyt jesteś pobłażającym, szanowny mój mistrzu! lecz jeśli te pochwały mają w sobie cokolwiek prawdy, komuż jestem winien że mogłem na nie zasłużyć, jeśli nie tobie, którego wyborne nauki...

— I mnie... — przerwał doktor...

— Prawda! gdyż odgadłeś że szlachetne twoje ofiary straconemi nie zostaną... nigdy téż godnie wdzięczności mojéj dowieść ci nie zdołam... Lecz, — dodał Ricconi, pochylając się do ucha doktora, — zawiodłeś się pan na téj drugiéj rzeczy, wiesz?... od owéj nocy... nigdy już więcéj...

— Rozumiem, — odpowiedział doktór...; — oddając się całkiem pociągowi jednéj skłonności, przezwyciężyłeś drugą.

Vogler, nie mogąc zrozumieć tych szeptów i półsłówek, spoglądał kolejno na tajemniczych swoich towarzyszy, lecz artysta nie wstydził się i wszystko mu opowiedział...

Odtąd talent Ricconiego coraz bardziéj się wznosił, a z nim wzrastała ufność doktora w kranioskopię. Vogler nie przestawał cudownych tworzyć uczniów jemu to winien świat muzykalny wzniosłego Mayerbeera. *W. S.*

ROSAMBO
AKTOR PODRÓŻUJĄCY.

(z francuzkiego.)

W następującym opowiadaniu, niemasz nic zmyślonego, osoba któréj dziwaczne wypadki skreślić zamyślamy, znaną jest w całéj Francyi: gdyż Rosambo grał wszędzie. Występował w Paryżu w teatrze Francuzkim, w Operze-Komicznéj w Odeonie, przy bramie Ś. Marcina, w Ambigu-Comique, w Gaité, w Folies-Dramatiques; na prowincyi i w obcych krajach, we wszystkich prawie wielkich i małych miastach. W téj chwili zbierają truppę aktorów francuzkich mających się udać do Konstantynopola, można się założyć z pewnością że Rosambo będzie do niéj należał.

Rosambo nie jest aktorem bez talentu, posiada nawet tę rzadką zaletę w oczach Dyrektorów prowincyonalnych, że jest gotów i zdolny do wszystkiego. Śpiewa w wielkich operach, w operach Komicznych i w wodewilach, gra w trajediach, komediach, dramach i melodramach, a nawet poprosiwszy go cokolwiek, da się namówić i będzie tańczył na linie. Rosambo tylko kilkanaście razy był wygwizdanym. W miastach garnizonowych, jest przyjacielem oficerów; w tych zaś gdzie niema wojskowych, jest opowiadaczem nowinek i facecionistą kawiarnianym; wszędzie go przyjmują takim jakim jest, nawzajem on z swoją publicznością wszędzie w najściślejszéj zostaje znajomości.

A jednak z trudnością bywa zakontraktowanym. W takim razie zjeżdza do Paryża, swéj głównéj kwatery, tu pozostaje do rozrządzenia każdego Dyrektora którego towarzystwo, rozproszone zostało surowością parteru, słabością lub ucieczką jakiego artysty. Choć żadna z tych okoliczności nienastręcza się, Rosambo jednak oczekuje sposobnéj chwili. I jeśli tworzy się towarzystwo poczynających aktorów dla dawania widowisk w okolicach Paryża; Rosambo natychmiast ofiaruje mu swoje doświadczenie i ogólną użyteczność, w potrzebie nawet pełnić będzie obowiązki suflera. Jeśli widowisko jest dawane w Wersalu lub w St. Germain na dochód jakiego artysty Paryzkiego, Rosambo przybywa w samą chwilę obiadową, gotów zastąpić naprzód przy stole a potém wieczór na scenie osobę któréj brakuje. Obdarzony niesłychaną pamięcią, dwie godziny są dla niego dostateczne do nauczenia się roli, pełen dowcipu i oryginalności, jéśli nie wyświadczy jakiéj usługi, to przynajmniéj zabawi. Dla niego jest to dzień pozyskany, nazajutrz co innego mu się na-

darzy, lub znajdzie dawnego kolegę równie nieszczęśliwego co z nim podzieli kawałek suchego chleba. Rosambo zna wszystkich co tylko wstąpili na deski sceniczne od lat trzydziestu, wszystkich aktorów, równie pierwszego artystę teatru Francuzkiego jak ostatniego popychacza najlichszéj truppy włóczącéj się, oni wszyscy są jego przyjaciołmi, on grał z niemi wszystkiemi i może niemasz jednego, któremuby on niebył winien pięciu franków.

Rosambo żył od dzieciństwa jak filozof praktyczny, zapominając przeszłości, niezważając na przyszłość, nigdy nieszczęście niezdołało zamieszać jego wesołości. Jeszcze żadnéj żyjącéj istoty byt niebył dziwaczniejszym, z wypadków jego awanturniczego życia, możnaby napisać z dziesięć *romansów komicznych*. Obdarzony pewnością niczem nieustraszoną w obec publiczności, za sceną jest zabawnym współbiesiadnikiem gotówym śmiać się ze wszystkiego, nawet z własnéj nędzy, z największego nieszczęścia wykręcający się wesołością.

W roku 1817 dozwolono mu wystąpić na scenie teatru Francuzkiego, ubierał się właśnie gdy Monrose wszedł do garderoby na ten wieczór dla niego przeznaczonéj. Koszula wisiała na kołku, był to prawdziwy łachman, któryby gałganiarz zaledwie podjął ze śmieci. Rosambo dostrzegłszy że Monrose przypatrywał się jego koszuli, rzekł: Jak widzisz, mój przyjacielu, nie bardzo w téj chwili zaopatrzony jestem w bieliznę, mam wprawdzie jeszcze jednę złą koszulę i dwie podobne do téj.

Garderoba Rosamba miała zawsze jakąś cechę bajeczności; żaden z artystów nieposunął tak daleko jak on, sztuki koncypowania, fabrykowania i improwizowania kostiumów.

On to jest wynalazcą gorsów i mankietek papierowych. Pewnego wieczora w Lille, miał grać rolę oficera żandarmeryi w *Dezerterze*. Magazyn teatralny dostarczył mu potrzebnego uniformu i bótów, lecz spodni niebyło na jego figurę. Cóż czyni, oto postrzegłszy spokojnie grzejącego się żandarma przy kominku w foyer, przystępuje, rozpoczyna z nim rozmowę, zwierza się w jak wielkim zostaje kłopocie i skłania żandarma że ten się zamienia tylko na kwadrans i daje mu spodnie skórzane za znoszone już dobrze sukienne. Widowisko się skończyło a żandarm ciągle czekał na zwrot potrzebnego ubrania, lecz Rosambo tego jeszcze wieczora odjechał do Hagi.

Już powiedziałem że Rosambo stojąc przed publicznością obdarzony jest pewnością niczém nieustraszoną, oto dowód jeden z tysiącznych:

Dwóch aktorów Teatru Francuzkiego dawało widowisko w Wersalu; afisz zwiastował *Andromakę* i *Kochanka dziwaka*. Rosambo przybywa w samą obiadową godzinę: — Jesteś, zawołano skoro go tylko spostrzeżono: dobrze żeś przybył! nasz Pylades niedotrzymał nam słowa; musisz umieć tę rolę, będziesz grał. — Nieumiem, lecz się jéj nauczę. — Każ sobie dać osobny pokoik; przyniosą ci tam obiad, będziesz się mógł więc spokojnie uczyć. — O nie, ja z wami będę obiadował; położę przed sobą egzemplarz. Umiałem już niegdyś Pilada, tylko go sobie kilka razy odczytam. Rosambo w saméj rzeczy; tak dobrze obiadował, że w chwili wejścia na scenę, niepamiętał nawet pierwszéj odpowiedzi. Wszystkim wiadomo, że gdy kortyna się podniesie, Orest wymawia ściskając Pilada następujące wiersze:

Że długo po twéj stracie okryty żałobą,
W państwie Króla Epiru zobaczę się z tobą?

Pilad-Rosambo, niewiedząc co odpowiedzieć, zamiast mówienia, zaczął ściskać Orestesa, co z takim wykonał zapałem z taką naturalnością, że parter hucznym oklaskiem wynurzył swe zadowolenie. Omamiony powodzeniem, Rosambo ciągle ściska, publiczność jeszcze klaska, lecz gdy się nareście, te uściski niekończyły, zaczęło gwizdać. Wówczas Rosambo zbliżywszy się do kanału, trzykrotnie z uszanowaniem się ukłonił i rzekł:

»Prześwietna Publiczności, nigdy tak dobrze o tém się nieprzekonałem jak dzisiaj, że dwóch rzeczy razem czynić nie można; chciałem się nauczyć roli jedząc obiad, z czego wynikło żem się ani dobrze najadł i ani słowa nieumiem mojéj roli.

Parter niezawsze jest skłonny do gniewu, wreście znano aktora, to szczere jego tłumaczenie tak się podobało, że Rosambo z oklaskami tego wieczora był przyjmowanym, i całą rolę napisaną pięknym wierszem Rasyna, oddał prozą.

Panna Georges miała dla Rosamba prawdziwie koleżańską względność, lubiła jego towarzystwo gdy wyjeżdżała, grywać w większych miastach prowincionalnych. Rosambo rozrywał bowiem, swemi dowcipami, nudy jéj podróży. Lecz Rosambo tak szczęśliwie ubierający się na scenę, miał wówczas w obrzydzeniu wodę i nigdy jéj nieużywał. Pewnego dnia panna Georges, w czasie próby zasłabła z powodu odoru który Rosambo w koło niéj rozpostarł, nakłoniła go iżby poszedł do kąpieli; a nawet dała mu bilet abonamentowy do wejścia, który wziął. Przybywszy do łazienek, Rosambo musiał chwilę czekać, machinalnie oczy jego zwróciły się na spis potraw, które na żądanie mogły być dostarczone kąpiącemu się. Garson, zawoła Rosambo,

jest to ostatni bilet mego abonamentu, odjeżdżam dziś wieczorem, a przykrzy mi się tak długie czekanie, czy nie mógłbym zamiast użycia kąpieli zieść wazkę bulionu?—I owszem panie. — A więc daj mi. — Wieczór na scenie, panna Georges przekonała się, że kąpiel nie zewszystkiém pozbawiła Rosamba nieprzyjemnego zapachu.

Saint-Omer przechowuje dotąd wspomnienie jednéj z najszczególniejszych awantur Rosamba. Grał on pierwsze role w wszystkich rodzajach, z małą kompaniją zakontraktowaną na dwanaście czy piętnaście widowisk, przedstawić się mających w czasie jarmarku w tém mieście. Dwie pierwsze reprezentacyje były nader korzystne; lecz nazajutrz po drugim widowisku, dyrektor ujechał, zabrawszy z sobą pieniądze i zostawiwszy jeszcze w oberzy, gdzie wszyscy aktorowie mieszkali 500 franków długu, za który naturalnie ci nieszczęśliwi byli odpowiedzialnemi.

Zostawieni sami sobie, obarczeni znacznym długiem, biedni aktorowie, zachęcèni przez Rosamba którego nadzieja i dobry humor nigdy nieopuszczały, umyślili mężnie stawić czoło przeciwnemu losowi. Zamieniwszy się w towarzystwo przedstawiali ciągle widowiska. Lecz nieszczęście ich ścigało. Nadaremnie urozmaicali swój repertoar, wyczerpali wszelkie komplementa na jakie tylko retoryka zdobyć się mogła w pisaniu afiszów, dochody jednak kassowe coraz to okropniéj się zmniejszały. Nie tylko że nie mogli spłacić należności, lecz przywiedzeni zostali do największéj nędzy. Z czternastego przedstawienia, z podziału wypadło na pierwszego artystę 17 groszy.

Zebrali się wszyscy w małym pokoiku przyległym teatrowi, gdyż byli zmuszeni wynieść się z oberzy, ogrzewali

się przy płomieniu kilkunastu wiązek drzewa, rzucając w popiół kartofle, które zastępowały im zupę, sztukę mięsa, pieczeń i deser. Ubiory ich równie były odpowiednie temu rzeczy stanowi, zmuszeni iść za radą Harpagona daną służącemu, ciągle tylko od strony ściany stawali, co nader żenującą rzeczą było, zwłaszcza dla tych co wychodzić byli zmuszeni. Mieli już tylko słoik ružu i dwa słoiki bielidła na całe towarzystwo. Kochanek miał ręce odmrożone, pierwszy komik tak był zakatarzony że musiał płakać jak drugi Demokryt aktorka zaś grywająca rolę podstarzałe, uskarzała się na niezmierną migrenę, odkąd zniewoloną została zmniejszyć do trzech szczypt dziennie, zwykłą porcyją tabaki.

Jednak ostatnie przedstawienie zbliżało się, sala widowisk tylko została najętą na piętnaście przedstawień, a dochód niewystarczał na zapłacenie najmu, niemożna się było przeto spodziewać aby właściciel przystał na dalsze wypuszczenie. Tak przykre położenie nie nowém było dla Rosamba; dla tego téż, on sam jedynie, zachował krew zimną, on sam posiadał przytomność umysłu, potrzebną do wynalezienia sposobów wydzwignienia się z tego kłopotu. Rosambo właśnie otrzymał od swego korrespondenta egzemplarz sztuki, która wówczas miała w Paryżu niesłychane powodzenie, była to melodrama w trzech aktach, pod tytułem: *Potwór*. Skłonił wszystkich, że się uchwycili téj kotwicy ocalenia, że przedstawią *Potwora* na zamknięcie widowisk, z tą nadzieją, że jeśli powodzenie odpowie temu ostatniemu ich usiłowaniu, zdołają wymódz na właścicielu kilko dniowe przedłużenie umowy, płacąc należność zaległą, a tym sposobem będą mogli napisać na afiszu: *Na powszechne żądanie*, po drugi raz melodrama *Potwór*, znów po raz trzeci *Na nie-*

zawodne zamknięcie widowisk, po raz czwarty: *Na niezawodne zamknięcie widowisk bez żadnej wymówki.* Wszystkie długi opłacą, i będą mogli się oddalić probować szczęścia gdzie indziéj.

Każdy wziął się do roboty, mieszkanie ich stało się prawdziwym warsztatem stolarskim, krawieckim i malarskim, krajano, szyto, malowano, heblowano i probowano za jednym razem. Starą kortynę, niegdyś wyobrażającą las, dzięki jéj dawności, za doskonałą uznano do przedstawienia morza; a przy pomocy kilku palików, któremi by w różnych odległościach podnoszono ją, uradzono że będzie można naśladować bałwany. Zrobiono okręt z kilku desek pomalowanych na ciemno, trzy drążki stały się masztami, wszystkie zaś chustki zajęte zostały w rekwizycyją dla utworzenia z nich żagli. Nakoniec wyczerpano ostatnie zasoby dla ułożenia afiszu niezwykłéj wielkości z okropną karykaturą, przedstawiającą potwora pożerającego dziecko. Na spodzie afiszu czytano literami na cal wysokiemi:

Pan Rosambo, dawniej pierwszy artysta tragiczny i komiczny, Teatrów Francuzkiego i Odeonu, wystąpi w roli Potwora.

Wielki, długo oczekiwany dzień, nadszedł nakoniec, role były umiane, dekoracyje ukończone, ubiory gotowe, wyjąwszy jeden, to jest: *Potwora.* Lecz Rosambo przyrzekł wystarać się o niego, spuszczono się więc na jego pomysł wynalazczy. Na godzinę przed zaczęciem widowiska, przyprowadził z sobą lakiernika z którym zabrał znajomość na bilarze, a rozebrawszy się aż do pasa: mój kochany, rzecze do niego, wiele zechcesz za odmalowanie mnie zielono od głowy do stóp? — To zależy, odpowie bohomaz, od tego ile

razy zechcesz być kolorem pociągnięty. — Tyle razy aby się farba trzymała cały wieczór doskonale. — A więc zapłacisz trzy franki. — Więc zaczynaj, będziesz zapłacony z ogólnego dochodu. Lecz trzeba mi jeszcze peruki, któréjby długie włosy spadały aż na ramiona, lecz jeśli która z tych dam niezechce mi udzielić swoich włosów, niewiem co wtenczas zrobię. Poświęciłem się, jak dobry kolega, dla dobra ogólnego, każdy przeto powinien pójść za moim przykładem.

Propozycya Rosamba wprost wymierzoną była do aktorki grywającéj podstarzałe niewiasty, lecz ona odrzuciła ją z oburzeniem. Rosambo widząc nadzwykłe jéj przywiązanie do siwych włosów, poprzestał na konopiach które rozczesane namoczono w gummie aby się trzymały. Kilku pociągnieniami pędzla, lakiernik pokrył twarz, piersi, ramiona i nogi Rosamba grubą warstwą zielonego koloru, a cofając się o kilka kroków w tył dla przekonania się o effekcie. Doskonale wyglądasz, odezwie się: powinieneś takim zostać na zawsze.

Lecz po upłynieniu chwil kilku, farba spłynęła i pokreśliwszy ciało w dziwaczne gzygzaki zatrzymała się w kroplach szmaragdowych przy samym końcu nosa, uszu i palcy, Rosambo niebył już malowany, ale wytatuowany jak dziki mieszkaniec Nowéj Zelandyi. Drugie pociągnięcie pędzla potrzebnym się okazało, bohomaz wykonał go, dla umocnienia swego dzieła przeciągnął wernixem całego Rosamba a przyrzekłszy powrócić dla zdjęcia farby po widowisku, oddalił się.

Rosambo okropnie wyglądał, wernix schnąc powoli na ciele, wstrzymał ruch muszkułów i skóry, straszliwe skrzywienie którego probował w chwili schnięcia, wyryło się na nim i pozostało jako zwyczajny wyraz twarzy. Przydajcie

do tego dwa kawały skórki pomarańczowéj, które utrzymywały w ciągłym rozwarciu usta, tworząc dwa rzędy straszliwych zębów, przez które niemógł i słowa przemówić, szczęściem rola jego była niemą i tylko potrzebował ryk wydawać, a boleść dotkliwa któréj z powodu ściągania wernixu doznawał, doskonale i w tym wypadku mu dopomogła.

Afisz dopiął swego celu; niesłychany był dochód bo 1200 franków wynosił; długi niedochodziły licząc w to pozostawione przez dyrektora, do 800 franków. Pozostało więc 400 franków do rozdzielenia, był to prawdziwy skarb dla tych goliaszów co już od piętnastu dni żywili się tylko samemi kartoflami. Wszystko szło dobrze aż do okazania się *potworu;* lecz gdy go ujrzano wychodzącego z morza, z nogami rozstąpionemi, rękoma wyciągnionemi, gdy postrzeżono okropne skrzywienie, gdy usłyszano straszliwy ryk, ogólny wrzask przestrachu rozległ się po teatrze, dzieci i kobiéty uciekać poczęły. Od téj chwili coraz gorzéj dziać się zaczęło; bęben siedmioletni którego wybrano aby przedstawił dziecie które potwór miał pozreć; na próbach nieokazał żadnéj bojaźni; lecz gdy zobaczył Rosamba w *kostiumie;* powszechny przestrach go ogarnął, powiększył nieporządek uciekłszy ze sceny na parter; dészcz ognisty, który miał zakończyć widowisko, chybił także swego efektu i omało przez niego teatr niezgorzał. Tak wśród gwizdań, sykania i złorzeczeń zakończył się wieczór którego początek zwiastował się tak pomyślnie.

Zgromadzeni w swoim pokoju, pocieszali się aktorowie; mieli bowiem piękny przychód w kassie. Okazać się jeszcze przed publicznością w Saint-Omer było rzeczą niepodobną; lecz mogli opuścić to niegościnne i sztukom pieknym nie-

przychylne miasto. Pieniądze! których niemieli jeszcze; zbierane były w kassie przez młodą aktorkę, grywającą role kochanek, która w téj sztuce niewystępowała; czekano dość długo na nią lecz nieprzychodziła, zaczęto ją szukać, przywoływać po wszystkich stronach. Rosambo był jak na torturach; lakiernik który miał przyjść aby ściągnąc z niego farbę, niepokazywał się w cale. Lecz zaledwie godzina upłynęła, poznano okropną rzeczywistość: malarz, młoda aktorka i pieniądze znikły jedną drogą. Wówczas nastąpiły klątwy i krzyki rozpaczy; lecz najspieszniéj należało ratować Rosamba. Każdy przeto cisnął się w koło niego, dopomagając jak mógł najlepiéj; lecz próżna to była praca; woda którą go zlewano, spływała po wernixie jak po ceracie, im więcéj go umywano, tym kolor jego zielony, świetniejszym się stawał.

Wkrótce nieszczęście aktorów rozgłosiło się po mieście, litość ogarnęła wszystkich serca, niedano im wspomożenia, lecz dozwolono się oddalić. Cała truppa ruszyła piechotą do Valenciennes, a Rosambo, zawsze poświęcony dobru towarzystwa, zawsze chwytający się środków nadspodziewanych, zaproponował swym kolegom, żeby go okazywali we wszystkich wsiach i miasteczkach przez które przechodzić mieli, jako szczególne zjawisko. Początkowo był to *prawdziwy dziki człowiek pochodzący z wysp Oceanu spokojnego*, późniéj gdy się wernix nieco potrzaskał i utworzył na ciele jego tysiące małych łuszczek, okazywano go jako *rybo-człowieka*. W téj ostatniéj postaci miał niesłychane powodzenie, a dochody jakie zebrał, tak były znaczne że mógł napowrót zostać prawdziwym człowiekiem i pozostałym kolegom swoim dopomódz.

W. S.

POEZYA.

ŚPIEWKA WESELNA.

Dziewczyno pożałuj,
Gdy kochasz pocałuj,
Bo jedno ściśnienie
Jedno słówko twoje
Z serc wygna cierpienie,
I z myśli trosk roje.

I któż szczęśliwy w téj ziemskiéj podróży,
Komuż pamiątki lub przyszłość niesyta
Uroczo uśmiecha, niewolnikiem służy,
Kto kartę dzionka, z śmiechem serca czyta?

Niema uciechy,
Na ziemskim kresie,
I gdy tan, śmiechy,
Jeden dzień niesie,
Drugi zazdrosny,
Smętnie rozwieje
Ponęty wiosny
Lata nadzieje.

Ale choć ziemia długie niesie troski,
Wdzięcznym powabem duszy ona stanie,
Gdy czyste serce, urok pojmie boski,
Iskierkę raju, uchwyci kochanie.

To szczęście śmiertelnych
To uczuć dziedzina,
Wab tonów weselnych
Czarowna dziewczyna,
Więc dziewcze pożałuj,
Gdy kochasz pocałuj,
Bo jedno ściśnienie
Jedno słówko twoje
Z serc wygna cierpienie
I z myśli trosk roje.

A. Ba... K.

ROZMAITOŚCI.

MISERERE ALEGREGO.

Mozart miał lat dwanaście wówczas gdy otworzono dom sierot w Wiedniu; młody artysta niepoprzestał, na skomponowaniu dzieła na wielką orkiestrę, z powodu téj okoliczności. Na wzniesieniu które umyślnie dla niego wystawiono, widziano go, z pałeczką w ręku, kierującego liczną orkiestrą. Dzieło jego tak pełne było piękności i poezyi, że Cesarz Józef II polecił mu napisać muzykę do opery *Finta simplice*. Wziął się zaraz do pracy, i wkrótkim czasie ukończył partyturę mającą najmniéj 558 stronic.

Powstająca wziętość młodego mistrza była na przeszkodzie innym kompozytorom; lękali się aby ich niezaćmił, zaczęli intrygować tysiącznemi sposobami przeciw przedstawieniu

tego dzieła; nareście, tak nieznośnym ojcu Mozarta uczynili pobyt w Wiedniu, że postanowił wydalić się z niego z dziećmi, i opera niebyła wcale przedstawioną.

Działo się to w roku 1769, Mozart zaczynał czternasty rok życia, gdy ojciec powiózł go do Włoch. Został tam przyjęty nader mile od wszystkich wielkich kompozytorów ówczasowych, a ich rady równie jak i dzieła, nie mało się przyłożyły do rozwinięcia jego wyobraźni, już i tak jaśniejącéj, pięknemi i zachwycającemi natchnieniami które umiał tak szczęśliwie wyrażać.

W Neapolu, młody wirtuoz zadziwił wszystkich do tego stopnia swą zachwycającą exekucyą, a szczególniéj biegłością lewéj ręki, że Neapolitańczykowie zdumieni, niemogąc pojąć aby dziecko tak młode, mogło posiadać tyle talentu który tylko bywa owocem ciągłéj i usilnéj pracy, przypisywali pierścieniowi co go nosił na téj ręce, władzę czarodziejską. Mozart uwiadomiony o tym dziwacznym uprzedzeniu, dowiódł im, zdjąwszy pierścień, że ten bynajmniéj niema wpływu na doskonałą grę jego.

Przybywszy do Rzymu, był przedstawionym Papieżowi Klemensowi XIV, który go kilkakrotnie powoływał aby grał w jego pokojach. Działo się to w czasie świąt Wielkanocnych. Mozart i ojciec jego, słyszeli opowiadane cuda o orkiestrze papiezkiéj i nader wychwalanem *Miserere Alegrego*, które corocznie bywa wykonywane w Wielki Piątek. Młody artysta śmiało upraszał Papieża o pozwolenie przepisania téj kompozycyi.—Niemogę tego uczynić moje dziecie, odpowie mu z przychylnością Papież.—A dla czego? zapytał młody wirtuoz z szczerością.—Bo te dzieła nie są moją, lecz kościoła własnością, odpowie Ojciec święty z dobrocią.

Wpuszczono Mozarta na jedną tylko próbę. Słuchał z nadzwyczajną uwagą téj sławnéj kompozycyi, a wróciwszy do domu, przekopiował całą z pamięci. Wieczorem w Wielki Piątek, udał się do kaplicy Sixtińskiéj z swojem rękopismem i w czasie wykonania, poprawiał i dopełniał części opuszczone. Tym sposobem został posiadaczem całkowitego dzieła, którego przepisanie lub dozwolenie przepisania wzbronione jest pod karą wyklęcia bibliotekarzom Papiezkim.

Młody Mozart pokazał z otwartością swoją kopią Papieżowi: napisaną z największą dokładnością. Uśmiechnął się on na widok téj kradzieży, którą tylko mógł wymówić ten jeniusz wzniosły, i ten talent twórczy, co były udziałem Mozarta, rzekł do niego: chwytania tym sposobem zabronić ci niemogę.

I nietylko że się nie naraził na niełaskę Papiezką, ale jeszcze został mianowany kawalerem orderu *Złotéj ostrogi*, pomimo swego młodocianego wieku. *W. S.*

KRONIKA TEATRÓW PARYZKICH
W ROKU 1838.

Rok skończony był pomyślnym dla teatrów Paryzkich, jeśli sądzić będziemy z ilości sztuk przedstawionych i ich autorów. Jednak wyjąwszy *Piwowara z Preston* w Teatrze Opery Komicznéj, *Dzwonnika Świętego Pawła* w Gaîte, i *Hecarzy* w Rozmaitościach, nie wielkie powodzenie literackie, reszta dzieł miała. — *Ruy-Blas*, *Popularność*, *Obywatel Gandawski*, są trzy jedyne sztuki, które zwróciły na siebie uwagę krytyki i świata literackiego.

Głównym wypadkiem w tym roku teatralnym, jest wystąpienie panny Rachel na scenie francuzkiéj, przez które zapewniła sobie majątek i wznowiła świetne czasy literatury. Po wystąpieniach panny Rachel, debiuta śpiewaka Mario, w Wielkiéj Operze były najważniejsze.

W roku 1838 dwa smutne zaszły wypadki; pożar teatru Włoskiego i Wodewilu.

Dwa też nowe otworzono teatry, Odrodzenia i przy Bramie Świętego Marcela. Operze Włoskiéj oddano najpierwéj salę Ventadour, późniéj Odeon, a Wodewil tymczasowo mieści się w Kawiarni Widowisk.

Liczba nowości dramatycznych zwiększa się corocznie, w 1834, grano 188 sztuk nowych; w 1835 było ich 211; w 1836, 296; w 1837, 298. Jeśli w r. 1838 było ich tylko 285, przyczyną tego było zamknięcie Wodewilu od 5 miesięcy.

Liczba autorów stosunkową była do liczby sztuk: od 127, wzrosła w 1837, do 219. Tego roku, wynosiła 274. Najpłodniejszemi byli pan Théaulon, który sam na siebie, napisał 10 sztuk nowych. Po nim dopiero następują pp. Anicet, Dennery i Laurencin 8; Jaime, Dosnoyers, Duport et Cormon, 6.

Ośmiu kompozytorów tylko dzieła słyszano w r. 1837; w przeszłym aż szesnastu, a ci są: pp. Adam, Berlioz, Bordeze, Caraffa, Kazimierz, Gide, Adryan Boieldieu, Clapisson, Despréaux, Donizetti, Grisar, Leborne, Leon Halewy, Monpou, Pilati, Rousselot, Ambrozy Thomas.